BIBLJOTEKA ZDROJU



TOM III.

JERZY HULEWICZ

SAMSKÂRA

OPOWIEŚĆ

POZNAŃ 1918.

SAMSKÂRA

BIBLJOTEKA ZDROJU

TOM III.

JERZY HULEWICZ

SAMSKÂRA

OPOWIEŚĆ

POZNAŃ 1918.

CZCIONKAMI „ZDROJU“ W TŁOCZNI „PRACY“
W POZNANIU



ózgiem niezdzierżona przeżyć tajemnica i w nich zaklęte poczynań źródło.

Nieprzeorane ziemi pokłady święte są, dziewicze — iże nietknięte mózgiem, ni dłonią.

Tajemnica Duchowi oddana jest, przeto Duchowi siostrzycą jest i kochanką.

Kazirodczy jest Duch — tajemnica przeto jego jest.

Błogosławiony płód, który z tajemnicy wziął początek, aby wieczności stać się źdźbłem.

Szukaj tedy mózgiem prasiłę, która z Tajemnicy i z Ducha się poczęła — z siostry i brata, ku sromowi twojemu i na wspak wierzeniom twoim.

Szukaj zmylonem okiem oślepiającego światła, znaku wróżbnego, który w miłości sprzągł kochanków dwoje dla nieustannego rodzenia wiecznych poczynań.

Szukaj bezwładnemi kończyny nieuchwytnych form odmiany, które zjawiskami są Ducha — i celem i wyrazem . . .

Patrzaj w czeluść nieodgadnioną, którą poznaną mienisz. Martwemi dłońmi ugniataj nieprzeoraną glinę.

Miejże ułudę tworzenia formy nowej i przysparzania jej źdźiebeł wieczności.

Ułudą żyj, gdy nie staje Ducha — i milcz.

Milcz jako niewiedzący — Duchem jeno bowiem wiedzieć możesz.

Milczenia klątwa niech spocznie na tobie, aż do chwili, kiedy opanuje cię żądza Poznania.

To modlitwy pierwszy cień, to objawienia pierwsze tchnienie.

Ducha pierwotność.

Wzgardzonej bestji forma.

Niewolnictwa forma.

Pół-forma.

Pół-zwierzę...

Zwierzę.

Teraz sądź.

Sądź człowieka, który cię stworzył i którego tworzysz, a który wieczną ci jest zawada. Sadź naturę, która ci jest odurzeniem. Sądź Boga, którego czcisz, jak czci oprawcę na rzeź wiedzione bydlę.

Sądź i patrz... Patrz i sądź... Patrz w Nędzę.

W Nędzę patrz, która po wiele kroć wymierzyła globu ostrość i okrągłość, która tłukła się po zaułkach zmęczonego miasta i ot — pod drzewem przysiadła

na malowanej ławie, opodal rozpustnego posążka... która tam przysiadła i zamieszkała w skulonym, zbłąkanym człowieku.

Osiadła w nim i jeno przez jamy oczne na świat ciemny wyziera — straszliwie, cicho, zimno... i jeno warg bolesne skrzywienie chudemi palcami znaczy, a raz wraz dreszczem potrąca znękane ciało.

Z odrętwienia zbudził się człowiek zbłąkany, wnętrznym targnięty wstrząsem.

Przyczaił się...

Uszami łowił szmer wszelki i szelest rozproszony w nocnej ciszy.

Czekał.

Odliczał czas; pulsem własnym czas odliczał i trwał...

Przeszedł ktoś — cień skulony przeszedł cicho.

Długi cień podwójny, a skroś podwójny światła snop.

Krzyż mętnego światła rozciągnął się po wilgotnej ziemi smutnej płaszczyźnie, krzyż błękitny cienia po dwakroć go przekroił.

Boleśnie twarz wykrzywił człowiek przyczajony na ławie. W skrzyżowaniu smug świetlanych i cieni błękitnych wszył wzroku swego tępe igły. Mocowały się oczy jego z cienia potęgą i z potęgą światła.

Uległ — ramiona zwiesił bezradnie. Nie zdzierżył skrzyżowań świetlnych.

. . . Poprzez krzyż jasny przeszedł ktoś — cień skulony przeszedł cicho; zmylił czystość i harmonję skrzyżowań barwnych.

Zgasły latarnie. Znikł podwójny światła snop na wilgotnej, smutnej ziemi. Długi cień podwójny powtórzył się po wiele kroć i dziesięciorako wzdłuż i wszerz przekroił ziemi siną płaszczyznę, że w jednię ją zlał z ulicą całą, z uśpionemi domy, i z niebem, i z przyczajonym w boleści człowiekiem ną ławie.

Zaskomlał pies opodal — pies zbłąkany.

Usłyszał skomlenie człowiek na ławie skulony — człowiek zbłąkany.

Głos pokrewny . . . w duszy słyszany głos . . .

Jęknął tęsknotą.

Szedł bury pies po wilgotnej ziemi — szedł skulony opodal.

Pomylił obłąkane czasu wyliczanie, tętno w żyłach przemienił, w żyłach człowieka, co mierzył był światła smugi, co w cieniu cienia szukał . . .

Zmylił pies człowieka, że w milczeniu powstał i podążył skulony za zbłąkanym cieniem psa.

Szli błędni. Poprzez cień powszechny i poprzez milczenie szli zbłąkani.

Nocy powłoka w jedno ich złączyła, szli stopieni w sobie jako mąż jeden, jako jedno zwierzę.

Jedna Nędza.

Jedna Myśl.

. . . Poznał się.

Psa oblicze ujrzał w sobie.

Skomlenie w piersi swej słyszał, czuł w sobie wieczne psa zbłąkanie.

— — — — — — — —

Którąś późną wybijał zegar godzinę na wieży, gdy bezwolnie klucz przekręcał w drzwiach swego mieszkania; bolesny klucza zgrzyt przeszył go od zmęczonego mózgu aż po zimne stopy.

Pokorny, w sobie skulony wszedł do mieszkania i nasłuchiwać jął, a rozglądać się jako złodziej, albo jako spóźniony z zakazanej wycieczki wyżeł, skarcenia winny a gniewu pana.

Nieutulony ból tęsknoty możniejszy wszakże był, niż lęk pokorny.

Wszedł do pokoju.

— Kto tu? — warknięcie z niewiadomego kierunku usłyszał wyraźnie. W kąt cofnął się. W mroku dwa blade okna spozierały nań bezmyślnie.

— Kto tu? — pytało coś z oddali.

Odpowiedzieć chciał. Głos zasię ugrzązł w gardle.

— Kto tu? Kto tu? — Natarczywie głos pytał tłukąc się po głuchych ścianach a mnożąc się w przestrzeni dalekiej, gdzieś między murami uśpionego miasta.

Szczeknął.

W odpowiedzi jeno szczeknąć zdołał i przeraził się głosu własnego.

Kurczowym ręki ruchem lampę zaświecił, lecz w tejże chwili zgasił światło pospiesznie i odskoczył w bok. Serce młotem walić mu poczęło, czuł, jako włos mu się jeży a oczy przerażeniem świecą w czarnej nocy.

Patrzał w znikłego obrazu przypomniany ślad. Zjawisko w cieniu znikło. W stronę zjawiska patrzał, fotel przed biurkiem pożerał szerokiemi, dużemi oczami.

Wielką wytężył wzroku siłę — aż wypatrzył:

W fotelu przed biurkiem pies siedział — bury pies, kudłaty zgarbiony pies, nad stosem zapisanego papieru pochylony pies. Pisał, pisał...

Cicho warczał i pisał.

Po długiej chwili, po bardzo długiej chwili pies pióro odłożył i pilnie wlepił przyczajone ślepia w papier zapisany. Wreszcie jął czytać głośno:

„Niemniej też, Lohicco, kto mawia: niechaj asceta który, albo-li kapłan, uzdrowienia środek wynajdzie, a wynalazłszy uzdrowienia środek, nikomu go nie zdradzi, na cóż przydać się może jeden drugiemu? Jakoby stare zerwał okowy, aby nowe sobie nałożyć; takoż dzieje się i tutaj; przewrotnem i nałogu pełnem nazwałbym: na cóż przydać się może jeden drugiemu?: taką mową Zło zgotuje tym, którzy jako szlachetni synowie sięgnąwszy objawionych przez Doskonałego nauki i ładu, pochlubić się mogą zdobyczą bogatą, jako to: słuchaczów celu ziszczenie, wcielenia i nie-

wcielenia ziszczenie, świętości ziszczenie, tym, którzy może wznieśli się aż pod niebios próg, aby przymnożyć stawania się Nieba. Do Zła dotarłszy pozbawion jest Miłości i Miłosierdzia; Miłości i Miłosierdzia wyzbyty wrogiem jest; wrogiem zasię będąc — błędne ma sądy; błędne sądy dwojaką otwierają mu drogę, powiadam, Lohicco: Piekło lub Zwierzęctwo."

Zaskomlał boleśnie człowiek w kącie skulony. Pies zasię przy biurku westchnął, kart kilka przerzucił i czytał:

„O godny czci, posiadłeś cel, dla którego opuściłeś dom swój, aby bezdomnych dzielić los, oto posiadłeś cel askezy . . ."

Chrapliwem szczeknięciem przerwał nagle czytanie człowiek skulony.

Wyprężył się i wyolbrzymiał do nieludzkich rozmiarów.

Uniósł się pies równocześnie i zawisł nad papierów stosem olbrzymi, potworny.

Człowiek krok postąpił, straszny, obłąkany i zwolna posuwał się w stronę zjawiska, w stronę olbrzymiego psa, kudłatego psa, straszliwego psa.

Siebie w nim ujrzał wyraźnie; siebie poznał.

Jak kot do biurka przyskoczył i oburącz przycisnął zwoje zapisanego papieru — drapieżnie, rozpacznie.

Szarpnął gwałtownie pies zwojem papieru — daremnie.

Położył tedy łapy obie na papierów stosie i groźnie kły wyszczerzył a krwawo łyskał oczami.

Sprzęgli się wzrokiem rozszalałych bestij.

— Nie ja to pisałem! krzyczał rozpacznie obłąkany człowiek.

— Ty! ty! — odszczeknął pies.

— Nie ja!

— Ty!

— Nieee! Nieee!

— Aa! . . .

W groźnem szczekaniu sprzęgły się oba wrogie głosy i w jeden zlały się straszliwy skowyt, w jedno przeraźliwe szczekanie. Jako w ulicznym zaułku spotkane u celu wspólnego psy źrą się o sukę, tak żarły się dwie bestje twórcze, czworo łap krwawych położywszy na spisanym wspólnym tworze.

Nagle ucichli obaj. Ślepia wzajem wypatrzeć sobie chcieli i tak trwali długo — długo . . .

W krwią nabiegłem ślepiu psa utonął wzrok człowieka.

W maleńkim krążku, dwa krążki barwne promieniują ku środkowi. Promyki, niby złote igły ruchliwe, drgające do wspólnego środka bieżą i tam w ciemni toną.

Dreszcz zimny przeszedł ciało człowieka — taki chłód szedł z onego promieniześrodkowania. W krwi otoczeniu i w ogniu chłód utajony.

Blado i zimno tajemnica pozabytu jęła przyświecać łzawej człowieka źrenicy.

Blado — zimno.

Miesiąca tajemnica.

Słońca oszukanie.

Przystani upragnionej złuda.

Spragnion był przystani, schronienia, ucieczki. Palił go żar psich oczu — łaknął życiodajnego chłodu; ożywczego chłodu miesiąca łaknął.

Ośrodek źrenicy zwolna w miesiąc się przemienił.

Zmylone wargi człowieka witać jęły modlitwą nieznaną miesiąca zjawę.

— O przystani ducha mojego! o odpocznienie skołatanego serca!

Szeptał człowiek nieznanej modlitwy obce wyrazy i w widzianą twarz miesiąca patrzał, a pies kłuł nielitośnie oczu swych sztyletami, kłuł, kłuł — aż powalił znękane człowieka ciało na ziemię.

Uszedł duch z stygnącego ciała człowieka, Pitriyâny siłą magnetyczną wchłonion w łono Miesiąca, jako, że wyrokiem wieczności nie między Duchy Wiedzące, ani między Duchy Świadomości i Ofiary wyzute, ale między Duchy Ofiary zapisany został.



krzyżowania promieni świateł nocnych w siatki pajęczej drżącej tkaninie — a weń wpleciona lękliwość zmiennych a ustępliwych myśli kołatającego do drzwi nieznanych mózgu. Omijają się świateł iglice, nici pajęcze i myśli zbłąkane, iżby nie potrącały się wzajemnie.

Krąg maleńki jest — ośrodek pajęczy. I drgnienia są, wiecznego ducha nieustanny kłam.

Zgodność jest i układność, iże przykazanego ładu nie mąci nic. Aż oto strzeli nagle myśl zuchwała, uderzy w tarczę pajęczej tkaninv, spłoszy osiadłe tam myśli a wplecionemi świateł promieniami zadzwoni.

Drga szarpnięta siatka pajęcza, migotliwość nocnych promieni nieci łuny krąg szeroki...

Maleńki krąg siatki o jedno rozszerzył się oko.

Oto w migotliwość myśli wpleciony miesiąca promień ku rozszerzeniu pajęczej życia siatki o oko jedno. Oto powtórzone po roku wróżbnym raz jeszcze „Ducha królestwo na ziemi“ nowe „lat trzydzieści“ nowe Ducha pokolenie: „rządy najwolniejszych i najbardziej oświeconych nad wolnymi i oświeconymi, oraz czerpanie z najczystszych źródeł poznania...“ [1])

Oto Ducha przeobrażenie się w formie, Ducha odnowienie.

Że Duch daleki jeszcze jest Świadomości, choć między Duchy Ofiary wpisany został, przeto z uwięzi Materji wyzwolon być nie może — według odwiecznego Prawa.

Doskonałości wszelako posiadł cząstkę, wyższemu więc człowieczeństwu przydzieliła go Wszechmoc.

Poprzez księżycowych promieni pryzmat czyta tworu swego treść — tworu zapomnianego już życia.

Człowiekowi żyjącemu jeszcze życiem zapomnianem czyta treść minionego tworu, a już rozświetla i prostuje dzieła swego myśli, iżby przyjaciel w życiu minionem nie trwał, ani tworem zapomnianem duszę karmił.

Co Duch zapomni (mawiał) nie z Ducha jest, ale z Materji. Wszystko co z Ducha jest, wieczystej podlega pamięci.

---

[1]) „Żywe kamienie“ — Wacław Berent.

Twór przeto zapomniany ginie dla Wieczności, albowiem nie ożywia go pamięć wieczna.

Twór zasię pamięci wiecznej godny, a obfitujący przecież w niedostateczności twórcze, pierwiastkami materji zastąpione — oczyszczenia czeka, iżby mógł wejść na drogę wiecznej pamięci.

Tak mawiał po wielekroć człowiek przyjacielowi swemu, który przyjacielem był z Ducha.

Czytał twór swój z pożółkłych długim czasem zwojów papieru, z pomiętego papieru, na którym widniały jeszcze, dla oka bystrego dostrzegalne, ślady poczwórnego dotknięcia jakowegoś złego pazura.

Czytał a objaśniał wszelakie dziwy tworu swego i niedopowiedzenia — z szczerego obcowania z ówczesnem życiem własnem płynące.

Przyjaciel w tworze słyszanym coś z siebie odnajdywał. Zwolna rozumieć poczynał, iż on, który przez długie lata młodości odtrąconym się czuł przez społeczność, iże ustępstw żadnych z ducha swego czynić jej nie umiał, który czuł się samotny duchem — on jakowegoś niewiedzianego życia jest wytworem.

Czytany utwór zdziałał był, iż poczuł koniecznością się w wieczystym życia obiegu; przeto bieg swój dalszy widzieć zaczynał. Odtąd żyć począł.

Przyjaźń obu zrodzona była z czytanego tworu; to jest: inaczej zgoła, niźli bywa wśród ludzi tworzących i ludzi słuchających, gdzie czytanie tworu wy-

pływa z przyjaźni — z niepopartej duchem, kłamliwej przyjaźni.

Mówił raz człowiek przyjacielowi słuchającemu:

— Wszelakie zaprzestań ducha działanie, którego z ostatecznością celów swoich pogodzić nie zdołasz. Nie wstrzymuj pochodu duszy twojej, albowiem spieszno jej jest do D e v a y â n y[1]) i spieszno jest Bogu widzieć M o k s h ę[2]) pomnożoną o duszę jedną.

Czy przeto mądrem nazwiesz i godziwem dręczenie duszy ciągłem Pitriyâny powtarzaniem, albo oddaniem jej zgoła w straszliwe Yamy ramiona?

Odrzecze przyjaciel:

— Nie nazwę mądrem ani godziwem — ale niestety koniecznem nazwać muszę...

— Jakoż to koniecznem tobie, gdy ja konieczności tej nie czuję w sobie? zapyta człowiek.

Odrzecze znów przyjaciel:

— Sądzę: Pitriyânę przebyłeś.

— Nie sądź drugich źle ku obronie swojej, nie sądź zarówno drugich dobrze, ku wytłomaczeniu siebie.

— Słuszność masz, przyjacielu. W siebie jeno tedy patrzę, w życie własne, złożone z ogniw liczniejszych, niżbym je znał, bardziej splątanych, niż-

[1]) Droga bogów.
[2]) Zbawienie.

bym z osobna każde dotknąć zdołał; a dotknięcie każdego z nich dopiero uzdrowienie poznania dać może.

— Jednym wstrząsem, gdy targniesz łańcuch życia, jednym pełnej duszy wstrząsem, a zadzwonią wszystkie ogniwa.

Słysz cały życia akord, nie dźwięk jednego ogniwa.

Całego, pełnego wstrząsu trzeba...

Przyjaciel oczy w siebie skulił i zamilkł.

Milczał człowiek również.

Dźwięku słów ostatnich słyszeli obadwaj akord cały.

Słuchali.

Ściany słuchały i słuchały nieme, blade okna. Sprzęty domowe słuchały wszystkie; i zegar na ścianie przycichł nagle i — słuchał.

Cisza... Święta, nieskalana cisza...

— — — — — — — — — — — —

Skrzypnęły drzwi. Przykro, boleśnie drzwi skrzypnęły.

Uroczystość półmroku, w którym snuły się białe cienie, zniknęła w nagłem lampy oświetleniu.

Biała dłoń wysunęła się z ciemni uchylonych oddrzwi i wolnym ruchem na ścianie światłość wesołą uczyniła w pokoju. W drzwiach ukazała się domu pani, przyjacielowi poślubiona. Chciała rzec coś;

wszelako widok obu onieśmielił młodą niewiastę, że cofnęła się zawstydzona, wprzódy wolnym palców ruchem zgasiwszy światło.

Mrok uczynił się znowu. Zwykły mrok; uliczną latarnią znieczulony mrok.

I cisza była znów; zwykła, nic nie mówiąca cisza, tykiem zegara znów mącona i dolatującem gwarem ulicy.

Z fotelu powstał pierwszy przyjaciel, domu pan. Gościnności wierny stróż; przyjaciela wziął pod ramię.

W inne odeszli pokoje.

— — — — — — — — — — — —

Yama położył rękę swą na wszystkiej duszy. Uwolniły się przecież z uścisku jego te, które D e v a y â n ą już płyną, inne wszelako w jarzmie Yamy przebywają jeszcze.

A Yamy dotknięcie w wszystką duszę jad szczepi. Zło żyje i życie dla siebie zabiera.

Dwa Duchy z jednej wywodzące się chwili o b c e są Yamie; obce są niemniej dwa Duchy, które zeszły się w chwili jednej na jednej drodze Ojców, albo bardziej jeszcze na jednej Bogów drodze.

Sięga wszelako Yamy potężna ręka po wszelką duszę, która idzie s a m a, sięga niemniej po dusze dwie, które pozorem wspólnie żyją, w różnej chwili po różnej drodze M o k s h ę zdobywają.

Moc wielka jedna wyzwolić zdolna duszę samą; moc większa jeszcze ku wyzwoleniu dusz obu, nie zespolonych w jedną, niezbędna jest według wyroku.

Nie uświadamiał sobie przyjaciel Yamy mocy, a bezsiły duszy s a m e j, albo obu dusz niezlanych w jednę, choć naukę taką z ust przyjaciela, z ust człowieka po wielekroć był słyszał.

... — I ponoć lepiej będzie (mawiał był człowiek przyjacielowi), iże pójdzie dusza twoja s a m a, niżby z cudzą szła, nie spoiwszy się z nią w jedno.

Nauka ta po wierzchu szła przyjaciela, nie dotknąwszy duszy jego. Słyszał wszakże brzmienie jej, dla tego nie zaznawał spokoju, ażby ją poznał. Szukał treści nauki w sobie, a im głębiej zanurzał się w duszy swojej, tem bardziej milczał i duszy swej nie dzielił.

Bywało nawet, że przyjacielowi wzbronił do duszy przystępu, bywało coraz częściej, że duszy poślubionej, duszę swą zamykał.

Człowiek znał ten duszy stan i czekał. Kobieta zasię nie odgadnęła duszy męża, przeto w zmianie tej pierzchanie odczuwała.

Także więc stało się, iż smutkiem wielkim miłowała męża i odtąd w żalu i pełna ofiary oddawała się jego miłości.

Smęt i niedopowiedzeń pełna cisza zapanowała w domu i w sercach obojga, a duch człowieka nad smętem tym unosił się czy to w obecność swą, czy,

kiedy byli sami. I nawet dziecka szczebiot ścichł od niejakiegoś dnia, albowiem nieświadoma dziecięcia dusza czuła jest na tajemne znaki Nieba.

W nieobecność człowieka, kiedy przyjaciel długie spędzał chwile samotności, wzrok utkwiwszy w ośrodku siatki pajęczej, która gdzieś zawisła na gzymsie podle okna, a daremnie wypatrzyć chciał pająka zapodzianego gdzieś — cicho weszła żona do pokoju, a bezszelestnie doń podszedłszy na skroni dłoń miękką położyła i wpatrzyła się jasnem okiem w pajęczej siatki drżące kręgi.

— Niema go, szepnęła.

— Niema go, powtórzył mąż cicho.

... Mijały długie, nieme chwile. Uliczny gwar przycichał zwolna, lekki mrok nad miastem rozpostarł się. Chwila zapalających się świateł... Gwiazda zjawia się na niebie; w głębi czarnej wody gwiazda gdzieś zginiona pod mostem... Światło uliczne, drugie, dziesiąte. Na niebie gwiazda już setna. Wieczór fioletowy, wieczór migotliwy tysiącem świateł na niebie, w głębokościach wody, na ziemi...

Najbliższa latarnia wplata światła swego mętne promienie w drżące pajęczej siatki włókna i pomnaża drżenie w tęsknocie za zginionym gdzieś pająkiem.

W otoczeniu mrocznem pokoju widnieje oświetlony krąg pajęczy, a oczy człecze szukają w tęczy onej zaklęcia dusz zginionych.

Przetarła niewiasta zmęczone oczy i opodal siadła.

— Mów do mnie, wyszeptały cicho jej wargi.

Milczał — wpatrzony w ośrodek misternej siatki pajęczej.

Szept niewiasty błąkał się gdzieś po ścianach, długą odbył wędrówkę, nim dotarł do uszu nieprzytomnego męża.

— Mów, szczęście moje — rzekł bezdźwięcznie, nie odrywając oczu od upatrzonego ośrodka siatki pajęczej.

Mówiła cicho niewiasta:

— Nie patrz w ten krąg zwodniczy... spójrz na mnie, pomówić z tobą chcę...

Spojrzał:

— Pomówić? słucham cię.

Nieśmiało zagadnęła:

— Czy przyjdzie on, przyjaciel twój? Stracone chwile, zginione! Żali więcej chwil moich zabierze mi? Nie, nie! co mówię? wybacz, niech służą ci wszystkie, wszystkie moje chwile; weź wszystkie, weź!

— Zawiścisz chwil niewiele poświęconych duszy — dziwi się mąż.

— Duszy? Toż i ja duszę mam, nie żyliśmy dotąd ciałami tylko, ale wspólną żyliśmy duszą. Czemuż człowiek ten rozdziela nas?

— Czy pewna jesteś, iżeśmy jedną żyli duszą?

— Wierzyłam i — wierzę.

— Nie złudaż to, mój aniele?

— Złuda, mówisz?... Złuda?...

Przerażone, ciche oczy jej błąkały się po świecącem blado w mroku zadumanem czole męża.

Szeptała:

— Złuda? Złuda?

— Złudąż było całe wspólne nasze życie?

Wyciągnął dobre ręce swe i na drżącej dłoni jej położył:

— Słuchaj! Słuchaj z spokojem, bez żalu, bez bólu, bez wyrzutu.

Stań na chwilę tam, gdzie ja stoję — tam w nieznanej mieszkańcowi ziemi ducha spokojności. Tam stań, a zrozumiesz mnie i winić nie będziesz ani siebie, ani mnie.

Ani siebie — mówię, ani mnie.

— To straszne! jęknęła cicho.

— Niechaj się dusza twoja nie trwoży. Spokojność, cząstka wieczności, świadectwem niechaj będzie stykania się dusz naszych. Czy chcesz posłuchać w ducha spokoju i pogodnie, czy chcesz, abym choć słaby myśli moich promień rzucił na wspólną naszą drogę. Chcesz li drogę naszą rozpoznać?

— Słucham.

— Nie wiem, na której znajduję się drodze i nie znam zdobyczy ducha mojego: obce mi jest świętości ziszczenie, obce wcielenia ziszczenie i niepoznany słuchaczów cel. Daleki jestem wzniesienia aż po niebios próg, aby przymnożyć stawania się Nieba.

Zło mi wszczepiono od dni niemowlęcych i pozbawiono Miłości, i jeno tresowane zwierzę uczyniono ze mnie, a tresurę modlitwą nazwano i wymyślono mnogo podstępnych wyrazów dla upiększenia niskich poczynań, dla zmylenia drogi Poznania, która w poprzek idzie dostojeństwu uświęconej formy. Przeto wrogi jestem duszy własnej; wrogiem zasię będąc — błędne mam sądy; błędne sądy dwojaką otwierają drogę, powiadam: Piekło lub Zwierzęctwo.

Niewiasta słowa ostatnie ledwie dosłyszeć zdołała. Każde męża słowo uderzało w wątłą jej pierś niby taran w pękające mury rozpadającego się miasta.

Potok straszliwy lunął na jej zmęczoną głowę z niewiadomej chmury, a grom bił po gromie w zlęknione serce, które tam w piersi niby gołąb zraniony trzepotało bezwładnemi skrzydły.

Oczy jej ujrzały tysiąc obrazów naraz. Pozrywana wisiała siatka pajęcza, szarpana na wsze strony wichrem straszliwym, a w każdem oku zstrzępionej siatki inny ukazał się obraz, pełen załamań i skurczów, pełen skrzyżowań i straszliwych skrzywień. Przelatywały tysiącem błyskawic wszystkie doniedawna cicho drgające gwiazdy i wszystkie mętne światła uliczne i wszystkie świateł odbicia. Miasto całe wirować poczęło, domy zdały się skakać na wsze strony, zmylając ulic porządek.

Pośród ruchliwości zmieniających się błyskawicą obrazów, głowa męża nieruchoma, kamienna widniała

w pośrodku i tylko niekiedy zygzak ruchliwy przeciął kontur głowy, tylko niekiedy ten lub ów z domów skaczących przesunął złamane linie po przez krawędź twardo zarysowanej czoła płaszczyzny.

Spokój szedł z czoła jego, zimny, twardy spokój.

Niewiasta czekała straszliwego jakiegoś wyznania.

— Cóżeś uczynił? usłyszała rozpaczne pytanie swej duszy, ale cały kunsztowny kodeks przyuczonej wiary nie dał jej na to odpowiedzi żadnej.

Podniosła się cicho i pod ścianę się wsunęła, aby dalej być od słów słyszanych.

Oburącz ściany się imała.

On zasię mówił dalej przytłumionym głosem:

— Nie wiem, powiadam, na której znajduję się drodze. Mnogość ogniw zasłania mi wszelkie wiedzenie, brzęku ich rozmaitość przygłusza wołanie z tamtej życia strony.

Jednym wstrząsem gdy targnę łańcuch, jednym pełnej duszy wstrząsem, tedy zadzwonią wszystkie ogniwa.

Usłyszę cały akord. Całej, pełnej duszy wstrząs.

— Miłość moja i dziecka miłość jest ci pełnym wstrząsem, wyszeptała z wysiłkiem niewiasta.

— Jednem z życia ogniw, odparł w zadumie, — może jednym ogniw splotem.

Ogniw słyszę brzęki, nie akordu jeden dźwięk.

Przeto jednym wstrząsem targnąć łańcuch, jednym pełnej duszy wstrząsem . . .

Wspólnie iść nie możemy — ty i ja . . .

Ona szeroko rozwarła oczy.

— Zło ciąży na mnie — mówił dalej rozgorączkowany, — przez dusz naszych skojarzenie,że nijak wyzwolić mi się z życia tego póki z tobą idę. Zło spłodziłem z tobą — to nasze przekleństwo! To moje przekleństwo! Pisano mi nastawać na Zło, które z nas wyszło, aż zczeźnie. Pisano mi Złem własnem poić się a wszystek szpik z niego wyssać ku zadowoleniu żądzy a ku zniszczeniu mego płodu, iżbym nie rozradzał się w pokolenia. Z tobą zasię przeznaczenia wypełnić nie mogę; przeto sam pójdę.

Opuszczam cię. Sam pójdę. Bóg przeciął drogi naszej wspólność.

Wyszła droga nasza z narzuconego Zła; z grzechu wyszła, z uświęconego grzechu. Droga nasza przez grzech wiedzie, w grzechu każe trwać i płodzić grzech, zabijać duszę, zabijać, zabijać . . .

Przypadła niewiasta do kolan męża:

— Na Boga! dziecię nasze!!

— Zabijać! zabijać! — szeptał nieprzytomny.

— Dziecię nasze!

— Zabijać! zabijać! . . .

Padła w niemocy i wyczerpaniu.

— — — — — — — — — — — —

. . . Dwie kojące dłonie ukazały się nad stłumioną rozpaczą dusz obojga.

Stanął nad nimi człowiek.

Człowiek — przyjaciel nawiedził przyjaciela.

— Pokój wam, rzekł głosem z innego świata. Pokój tobie, pani, iżeś miłością wielką otoczyła cały świat twój, iżeś tchnienie miłości w przyszłe posłała ludzi pokolenie.

I tobie pokój, przyjacielu, daleki pokój niechaj się przybliży, iżbyś spokojnością nie żył kłamaną.

Poniechaj duszy mściwość na niewieście. Wstrząsem wielkim twoja dusza niechaj się odrodzi, pokój zasię daj duszy jej.

Szedłeś za mną i nie podążyłeś. Tworu z ducha nie było.

Czytałem ci twór z ducha mego, aby twojego zapłodnił.

Daremno czytałem. Na t o oto życie twoje — daremno. Znajdziesz tworu treść w życiu innem.

Puste jest życie, gdy nie tworzy. Zemstą nie wypełnisz życia pustki.

Pozostań, mówię, z niewiastą twoją i z dziecięciem pozostań dla ich dusz wypełnienia.

Pozostać nie chcesz! Pozostać, mówisz, nie możesz. Snać wyrok nad tobą pisano.

Nie mogąc życia tworem Ducha wypełnić a wrogi będąc niewieście, wrogi nasieniu swemu, albo wrogi ludziom, albo stworzeniu innemu wrogi — błędne masz sądy; błędne zasię sądy dwojaką otwierają ci drogę: Piekło lub Zwierzęctwo.

Zmylony posiadłeś cel askezy, dla którego opuszczasz dom swój, aby bezdomnych dzielić los...

Mówię, zaprawdę mówięć, przyjacielu: zamknięta ci jest Devayâna. Mówię, za prawdę mówię-ć, przyjacielu: zamknięta ci jest i Pitriyâna. Trzecie z Miejsc pisane ci jest na to życie, trzecie z Miejsc, mówię.

Drogi nasze się rozchodzą, przyjacielu. W Devâyânę idę.

—



tóżby nie czcił duszy całej wdzięcznością pamięci odeszłego człowieka, który oszczędził trudu usunięcia go precz z drogi życia?

Zawiśnie — bywa — duch pokrewny nad istotą człeka, zstąpi nań, a rozgości się w wnętrzu jego, jakoby w własnego domu ognisku. I roznieca płomień wiecznego żaru, albo płomień gasi; i gotuje strawę dnia powszedniego, podaje, albo jej odmawia; wypełnia dom weselem, albo przygniata ciężkiego smutku kamieniem. Najrozkoszniejszy nędzom daje upust, to znów pokutną narzuci włosiennicę.

Panem czyni się w domu cudzym — potem uchodzi i pozostawia straszliwą pustkę, tę rozpaczną duszy pustkę, która wreszcie w jadowitą wdzięczność się przemienia, w wdzięczność ku gościowi,

który oszczędził trudu usunięcia go precz z drogi życia.

Mój dom, mój dom!

Gospodarzę w domu mym dowoli, a wolna moja wola chce, iżby dom mój w sobie się zamykał.

Na oścież otworzę domu mego okiennice błyskom szerokiego świata. Dość mój dom pojemny, aby wszystkie świata tego błyski wchłonąć w siebie i błysków dość mam tutaj, iżbym miał szukać błysków światów nieznanych.

Obcy promień jeden mury domu mego rozsadza — krocie zasię błysków mego świata rozkoszą wypełniają dom mój, woń życia w domu moim niosą. A kiedy obcość taka rozsiadła się w domu moim i obcości nasienie plenić się jęło, nie stało miejsca dla mnie, nie stało! Przeto porzuciłem ciasnotę tego domu i na szeroki świat wybiegłem i pełną świata piersią odetchnąłem. Błogosławięć, domie porzucony iżeś wypchnął mnie z wnętrzności swoich, błogosławięć, świecie mój, iżeś wchłonął mnie w wnętrzności swoje. Iż wszystką rozkosz udzieliłeś mi, iż wszystką pamięć odebrałeś mi, iż wielką radość z życia pobrzęku dałeś duszy mej, iż myśl o końcu odebrałeś duszy mej, iż chwilą żyć nauczyłeś mnie — przeto błogosławię ci, o świecie mój i czcić nie będę innych nad ciebie, o wielki, wielki świecie mój!

Pijany szedł ulicą... tańcował pełnem życiem, szumiącem jak potok wina gorącem życiem. Woń

rozkoszna upajała nozdża łakome, a brzęk przelewającego się złota muzyką był nieustającą uszu jego.

Skrzyły się w oczach miljony djamentów, turkusów, opali, muśliny i jedwabie snuły się niby sen rajski otulając kararyjskie dziewcząt ciała, albo odsłaniając je różane, jako kwiaty po świecie rozsiane.

Pijany szedł ulicą.

Latarnie kłoniły jasne głowy swe, gdy przechodził, a mnogość ich odległa wabiła, kusiła, pociągała.

Nie oparł się.

Pijany szedł ulicą w stronę żarzących się pełną łuną świateł mnogich.

Rozpustna muzyka szła od domów tych.

Pijany stanął w pośrodku przejasnych, grających domów tych. W pośrodku stanął i wykrzykiwać jął pełną piersią, a najpiękniejszą i najmłodszą przyzywał dziewkę, mieszkankę domów tych.

Taneczne wybiegły dziewczęta, jako kwiatv wysypane z straganiarskiego kosza; wonią swą odurzyły go, oślepiły urodą. Jednej pożądał tylko, jako polecono światu jego porządkiem; jednej pożądał. Pijanem okiem najpowabniejszej szukał i najświeższej.

Dziecię upatrzył sobie w pląsającym dziewcząt gronie.

Ku sobie pociągnął, do domu wziął; zlęknione dziecię do domu wziął.

Nieumianemi pieszczoty dziewczęcia sycił się pijany szczęściem swego życia, a wśród rozigra-

nej rozkoszy szydzącą puszczał rakietę minionemu życiu na pochybel, a na uciechę chwili.

Nie wiele lat minęło, odkąd dawny dom porzucił. Nie wiele lat — a przecież wieczna rozkoszy gonitwa zatarła już była wszystką domu porzuconego ciszę, wszystką błogość wspólnego z niewiastą poślubioną życia.

Co ongiś najpiękniejszem duszy jego było wzruszeniem, w wspomnieniu pozostało jako drętki osad na dnie rozbujałego na nowo życia. I nie tęsknił nigdy do porzuconego domu; myślą nawet nie wspomniał nigdy uwielbianej kobiety. Zły szept jakowyś nieznany, tylko niekiedy pamięć dziecięcia przywrócił na chwilę wśród niespokojności snu, w którym przeżywał dalej ostatnich dni rozkosze.

Teraz oto przesytem nocy zmęczony zasnął nad ranem snem głębokim.

Dzień był już jasny, kiedy mętne otworzył oczy i wpół-przytomnym powiódł wzrokiem po sypialni. Spojrzał po pościeli, spojrzał dookoła łóżka. Na ziemi rozrzucona w nieładzie leżała odzież dziewczęcia. Jej zrazu nie widział.

Porwał się nagle i siadł na łóżku, oczy przecierając.

Spojrzał przed się. W kącie oto sypialni, do ściany przytulone ujrzał dziewczę, z chłodu, czy z lęku drżące dziewczę, przyciskające do wpółobnażonej piersi niedbale przewieszoną koszulinę. Ru-

miane dziecka wargi płaczem drgały, a wielkie zielone czy bure oczy, łez pełne, z przerażeniem w jego spoglądały stronę.

Patrzał w dziewczynę jak w zjawisko. Myśli zebrać chciał — daremny wysiłek. Nagle w piersi skurcz uczuł straszliwy, nagle głośne złamanie w duszy usłyszał, rzęsiste, jak wielki groch, posypały się krople łez z oczu jego.

Po latach wielu pierwsze krople łez.

Zawołać chciał, ale bolesny gardła skurcz głosu wydobyć nie zezwolił.

Wyjęknąć zdołał tylko zapomniane, kiedyś ukochane dziecka imię.

Jęknął — imienia drogiego już powtórzyć nie umiał, drogiego, zapomnianego imienia dziecka.

Rzucił się na wznak i głośno jął szlochać i tylko zdawało mu się, że słyszy, jako dziecię suknie swe zbiera i jako po chwili spłoszone na ulicę wybiega.

Zdrętwiały leżał na wznak, bez ruchu dzień cały.

Mrok już był w sypialni, kiedy szeroko otworzył oczy i w sufitu biel się zapatrzył.

Stężały poczuł mózg w czaszce i tylko w stężeniu tem raz wraz wyczuwał drgnienie słabe, drgnienie żywe ledwie. W łzawych oczach cień zmarłej ujrza żony i wielką pustkę, a w pustce tej — zbłąkane dziecię jego — zbłąkane na ulicy dziecię jego, rządzy pospólstwa oddane dziecię jego i rządzy jego własnej usłużne dziecię jego...

Pustka.

Straszliwa, ciemna pustka, a w niej osiadła Nędza, ta Nędza, która jeno przez jamy oczne człowieka na świat ciemny wyziera — straszliwie, cicho, zimno... i jeno warg bolesne skrzywienie chudemi palcami znaczy, a raz wraz dreszczem potrąca znękane ciało.

Tężeje mózg w czaszce człowieka, w zmylonej myśli duch błąka się. Błąka się Duch kazirodczy — tajemnica przeto jego jest.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ciemniejsza nad inne stąpiła noc na miasto uśpione. Cichy upiorów niepokój tłukł się gdzieś po ulicach i zaułkach.

Cień od nocy czarniejszy przesunął się tu i tam; od nocy czarniejszy cień.

Zaskomlał upiór któryś i tłukł się gdzieś po ulicach miasta i zaułkach.

Przesunął się cicho cień i zaskomlał.

Mknął cicho bury pies po wilgotnych ulicy kamieniach — mknął skulony pies, w ulicach miasta zbłąkany pies.

Konający na bruku człowiek ostatnie w piersi swej odczuł skomlenie, czuł w sobie wieczne psa zbłąkanie.

II.



iedoznawany uczucia wstrząs szarpnął nagle wątłą dziewczęcia piersią osłonioną w pospiesznym nieładzie przed mroźnego poranka swawolą koszulą nieledwie.

Nie zdzierżył mróz jesienny rozpalenia piersi wezbranej, ni warg spieczenia, ni tempa pulsujących skroni.

Żyje jeszcze w pierwszym swym ruchu fala nagłego przeżycia, bólu i rozkoszy, szału i obrzydzenia.

Rozpiera wnętrze ścieśniony bunt. Rozrywa serca tkankę szarpiący chaos. Z lęku nieświadomości zrodzony ogień resztki stężałej krwi z żył wylizuje łakomie.

Życia przeczucie... Życia może już nieodwołalna świadomość.

Jakoż to dzieje się, iże nieświadomości owocem rozkosze dziecięce są? Jakoż to dzieje się, iże ciała oddanie raz igrą jest niewinną i w ustawiczności swej dziecięctwa nie zatraca — aż nagle ohydą jest, upadkiem?...

On!

Ach!

Z upodobaniem niedoznawanem jeszcze szła za nim, pijanej sile jego poddała się z rozkoszą.

Czyli rozkoszy doznanie świadomość dało ohydy?

Przypomniała nauki z lat niedawnych.

Grzechu świadomość? Spóźniona grzechu świadomość.

Nie! Nie to szarpie, nie to pali, nie to, nie to!

... Przebudzone z pijanego snu oczy jego...

Oczy te przypomniane, pijane oczy, które nagle oświetliły wszystką dziecka przeszłość, lubą przeszłość zginioną...

Oczy te straszliwe, ślepiom psa podobne... I ostatnie słowa te, ledwie zrozumiałe, dziwne słowa te, skomleniu psa podobne...

Ulicami miasta biegło dziewczę strwożone wśród mroźnego podmuchu jesiennego wiatru.

Oczy! Oczy te!

Słowa! Słowa te!

Dziewczę uchodziło przed pogonią oczu i przed słów natręctwem, jako spłoszona sarna w knieji przed następującym hyżo ogarów skowytem.

Dziewczę domu dopadło.

W izdebce bezsilne zwaliło się na posłanie i trwało tak przez godziny całe bez czucia i bez świadomości bólem pełne i obcą goryczą.

W bezczuciu tem bunt lęże się.

Chwilową otoczona pieszczotą za powab młodego ciała i krągłych srebrników brzękiem, co dach nad głową dają w dzień i ciepłą strawę i niezbędny przyodziewek . . .

Chwilową darzona ckliwością licznych przechodniów, świata zasię całego wzgardą. Świat wszelako mniej waży niźli porzucony, zbędny papieru skrawek; ale ten ból, co wlecze się śladem jej i wiecznem przypomnieniem jest jakoweś winy nieznanej!

Ten wieczny ból! . . .

I czemuż tak jest?

Czemu właśnie na nią padł czarnego losu cień, że na wargach zakwitać jeno zdolny przymuszony uśmiechu grymas — pozatem nieustający duszy szloch przepełnia zmysły wszystkie? I oto na wnętrzny, utajony płacz ten położył ciężką swą rękę upiór, z przypomnienia bladego znany, sztraszliwy jakąś niepojętą blizkością, jakiemś krwi i istoty wnętrznej powinowactwem.

Straszliwego psa postać wydała się dziewczynie w tej chwili katem — wykonawcą nieubłaganego, bożego wyroku.

Za co?... Czy to, że matka była jej tylko dzieciństwa wspomnieniem? czy to, że los zabrał jej dom, gdy jeszcze była dziecięciem, czy to, że ulica jedyna przygarnęła ją i z nieświadomości uczyniła życie?

Plątały się już myśli w zmęczonym mózgu i dobroczynny sen zwolna słał spokojności chwil niewiele.

Wtem szarpnięcie nagłe.

Przerwany brutalnie kojący sen.

Gniewna twarz kobiety starej.

Brwi wypłowiałych groźne ściągnięcie i wstrętny grymas złych ust.

Potok miotanych przekleństw, twardość żądań i gróźb niemiłosierność.

Dziewczę nie rozeznało starej chlebodawczyni, ani rozumiało gniewu jej. Szerokiemi oczami patrzało w twarz srogiej kobiety, jakoby coś sobie uprzytomnić chciało koniecznie; daremny trud.

Gwałtownem tedy szarpnięciem ramię nielitośne ściągnęło dziewczynę z posłania i na ziemię powaliło.

— Pieniądze! krzyczała stara ochryple, gdzie pieniądze, psie nasienie ty?!

— Nie mam dziś pieniędzy, nie mam... — jęczało dziewczę ledwo dosłyszalnie, gdy wreszcie pochwycić zdołało groźne słowa gospodyni.

— Cóżeś robiła noc całą, do białego rana, wszetecznico! Gdzie pieniądze tej nocy?

— Nie wziąłam.

— Łżesz, złodziejko! Daj pieniądze, inaczej czaszkę rozłupię!

Dalszych słów dziewczę nie słyszało więcej. Dotkliwy ból w skroni uczuło nagle i w mrok jakiś zdało się zapadać.

— — — — — — — — — — — —

O zmroku chłód przenikliwy wrócił dziewczynie cień świadomości.

Spojrzała dokoła. Ulica, czarna, wilgotna ulica.

Tam mętne błyska światło... dalej drugie, trzecie.

Cisza. Wielka trwoga.

Skostniałe ręce pierś zziębniętą w podartą chustę otulać jęły, a drżące wargi zdały się szeptać przypomniane wyrazy dziecięcych pacierzy.

Opuszczenia tęskne uczucie przywraca pamięć modlitwy i zjawę daje rzeczywistości minionej.

— Matko! — bezwolnie szepcą zsiniałe wargi. Potem cały korowód niedalekich wspomnień...

Przytulić się zapragnęło dziewczę i oto przyciska zbolałą głowę do twardego, szorstkiego muru i nawet z tego dotyku wyczuło dawną lubość rodzicielskiego domu i dawne ciepło — dziecięcego życia sen...

— Ojciec! — szepnęły wargi zimne...

Dreszcz przeszedł przez ciało dziewczęcia, że w dreszczu tym zdało się tężeć i trwało tak w bezruchu jako w bezruchu trwa czarna ulica ta.

Zupełnego opuszczenia straszliwa przytomność mrozem resztę ciepłej krwi ziębi; nawyknienie zasię — przystań ta ostateczna — i ono odmówiła kojącej dłoni przyłożenia, nawet ono opuściło samotnicę. Tylko wiatr jesienny przytulił i tylko niekiedy padał na zbolałą głowę liść zważony szronem — zagasającej nadziei zwiastun w swej żółtości rdzawej i w swem opadaniu smętnem.

Zapomniany, przedwczesną jesienią zważony liść...

To szarpnie złośliwie wiatr listopadowy, to uniesie i rzuci w kąt zaułku i zmiecie w ściek, to przydepnie przechodzeń albo zamiatacz ciśnie do śmietniska...

... Oto bezdomnych los, oto cel askezy...

Zła jest ulica, zimna a nieustępliwa w srogości swej. Poza nią przecież inna jest, dalej jeszcze inna... wszystkie jednako złe są, gdy zapomniany jest już lisć jesienny. A pod ulicą ziemia jest, czarna, smutna ziemia; ale nijak się wgrzebać w ziemię poprzez kamieni zwartość.

Nad ulicą zasię niebo jest; szerokie pono i dalekie niebo, bo (mówią) radością jest życia i życia jasnością. A jednak niebo skrawkiem tylko jest, otoczonym i ścieśnionym gzymsami domów i krawę-

dziami dachów nikłym skrawkiem. Nawet gwiazda się nie mieści tam, ani bladość miesiąca nie złagodzi wieczoru jesiennego czarności ponurej.

Lękliwego promienia wracające uczucie drga przecież gdzieś w ciemności tej — albo może nadziejnego tylko złudzenia?

Nigdy nie zaznana tęsknota...

Nowego, nieznanego życia blady promyk — albo może nadziejnego tylko złudzenia?

Przecież gdzieś podobne drgnienie jest — może drgnienie minione, ale w duszy żywe przecież!

Jest! Jest, kiedy jest wiara. A wiara jest, gdy jest tęsknota. Tęsknota zasię jest, gdy jest ból — a ból jest! straszliwy życia ból...

... Ty, który ponad wszelaką ciemnią jesiennego nieba królujesz jasnościom, Ty w bólu przypomniany, u którego stworzenie wszelkie litości żebrze, gdy wszędy litości Twej zaznaje — Ty miłosierdzia dziś nie zsyłaj, iże twardej doli ulicznicy nie czujesz w sobie. Niechaj zcześnie sina głowa, ziemskiej trwogi pełna i rozpaczą przesycona. Krew zastygła niechaj zmiłowania Twojego nie sięga, albowiem krwi nie czujesz w świętem Łonie swojem. Jakoż więc jest ból, gdy Ty, Boże, bólu tego nie czujesz w sobie, iże z nędzy ciała zrodzon jest?

Jak tedy wszystko stworzenie Twoje odeszło, jak odeszła matka i odszedł rodzic, który powrócił, aby dać świadomość nędzy — tako od bólu tego

odejdź i Ty, miłosierny Panie, który jeno „Duchy nasze, w sobie bolące“ czujesz.

Tak tedy opuszczenie jest zupełne i zupełna samotność.

Oto sąd boży, nieubłagana dokonanego czynu konieczność...

W upadku doskonałości pierwsze promienie, rozwiązanie powrósła stężałego bólu, rozsypanie ździebeł przelicznych rozpaczy w bezczucia nieokreśloność, w martwość nagłego duszy uszczęśliwienia.

... Kłamliwość że to mgieł nocnych, co snują się bez celu po ulicach miasta? nocnej-że to ciszy omama?

Znów na zimne czoło opadły liść zwiędły zdrętwiałemu ciału słabe dał przypomnienie życia. Dziewczę szeroko oczy rozwarło i w mgły uliczne długo patrzało, jakoby tam spodziewało się ujrzeć własnych źrenic odbicia.

Mgła kładła się leniwie po bruku zimnym — zwarta, prostolinijna w nizinie, wyżej w fale łagodne układna, jeszcze zaś wyżej w fantastyczne strzępiona linje i zakręty.

Utonął tam dziewczyny wzrok.

Nieuporządkowane, natrętnie przyskakujące myśli nagle rozsypały się gdzieś po ulicy, gdy doleciał odgłos kroków po kamiennym chodniku.

Dziewczyna w kąt jaki usunąć się chciała, albo do muru przycisnąć bardziej, iżby niepostrzeżony przez przechodnia był los jej.

Zapóźno.

Szła ulicą starsza rzemiosła towarzyszka, mieszkanka wspólnego domu. Stanęła i wpatrywała się przez chwilę w skuloną pod murem dziewczynę; poznała:

Tyżeś to? — zawołała przerażona: Ty? oto na mokrej leżysz ulicy, w noc zimną, porzucona, wygnana! Wygnała cię stara z domu! A bo też oddaj wzięte pieniądze. Cóż poczniesz sama, cóż?... Takoż leżysz tu godzin tyle?... A może pijana leżysz? Porzucił cię niewierny kochanek może? Pójdź, mała, znajdę ci innego, znajdę...

Odszarpnie się dziewczę, a przytuli do zimnego muru.

— Głupia jesteś — mówi tamta, — głupia, bo młoda. I ja tak — bywało — dawniej myślałam, a dąsałam się. Tak życie czasem przytłoczy. Nie poddawać się przecież — a uciechy w życiu dość. Łakomców, co na krasę dziewki chciwi, dość; i pieniędzy dość. Jeno głupią nie bądź, pójdź...

Nieswojem głosem odrzekło dziewczę:

— Krasa moja niczyja jest. Ostaw mnie, sama idę — tam czekają mnie.

— Gdzie? Kto cię czeka?

— Nie wiem, ale wiem, że czekają mnie.

— Pijana jesteś?

— Pijana! nagłem przejrzeniem pijana.

— Nie pójdziesz więc?

— Nie.

— Na zimnie ostaniesz tak?

— Ostanę.

— Co poczniesz?

— Czekać będę.

— Czekać za czem, za kim? Tu nie przyjdzie żaden, który cię zechce.

— Czekać za przyjściem tych, którzy mnie czekają. Ty tego nie zrozumiesz. Idź swoją drogą; spiesz, mija noc, spiesz, iżbyś dużo pieniędzy do domu przyniosła, aby ci się został dach nad głową.

— Nie pójdziesz więc? — troska się towarzyszka.

— Nie pójdę.

— To leż tak aż do rana, bądź zdrowa — zawołała szorstko i spiesznie odeszła.

— Do rana! do rana! westchnęło dziewczę i zdało się, że promyk nieświadomej nadziei w duszę się zakrada.

Mijały chwile ciemne, zimne.

Znów trwoga jęła szarpać ciałem skostniałem. Twardość muru odpychała. Dziewczę zerwało się nagle; biedz chciało ku onym zwojom zbawczej mgły, które znów dziwne kręgi zataczać jęły dokoła, iżby na zwojów tych grzbietach poniosła ją mgła nocna daleko, w zapomnienie, albo w odszukanie tęsknot zginionych.

Porwała się sił ostatkiem, lecz w tejże chwili wątłe jej ciało znów padło na łono zimnego bruku.

Ktoś z daleka — może przechodzeń spóźniony, może stróż nocny — posłyszał łoskot głuchy i przytłumione z piersi westchnienie — jęk nocy. Posłyszał i — poszedł.

Przez ciemność i przez mgłę szedł jęk, niby głos bólu podziemny i rodził kształty do widzianych niepodobne. Sunęły podłużne cienie, linjom mgieł przyłożone.

Od nocy czarniejsze cienie bestyj mknęły w zbitej, wielkiej masie — wszystkie sobie podobne, wszystkie w jednym kierunku. Czarne psy to były — czarne psy. Mnogość ich wielka noc uczyniła czarniejszą jeszcze, że dogasły ostatnie światła.

Snuł się korowód cichy, żałobny — długi sznur Zwierzęctwa. A pośród czarnej masy skulonych psów wędrownych człowiek szedł; niby olbrzym nad czarnym psów pochodem szedł.

Zbliżał się ku dziewczynie cichy człowieka cień.

Pierzchły gdzieś cienie psów niezliczone.

Ostał człowiek jeden, a na smyczy wiódł psa wielkiego.

Pies rwał się, obroża zasię gardliła go, iże przy panu pozostać miał.

Wielkie dziewczęcia oczy świeciły w ciemności. Ku światłom tym szedł człowiek wiodący psa na smyczy.

Przystąpił.

Kojącą dłoń na zimnem dziewczyny złożył czole:

— Błogosławięć — rzekł cicho, — iże jasność czynią oczy twoje wśród powszechnej nocy. Odpowiedzieć nie zdołało już dziewczę z sił wyczerpania i z skostnienia. Tylko wargi lekko poruszyły się w dziękczynieniu. Mówił dalej człowiek, trzymający psa na smyczy:

— Bezdomnych dzielisz los? Mówięć zasię, iże błogosławion jest wyzbyty domu, który sam jeden ostał, aby czynić światło wśród powszechnej nocy.

Jak kwiaty z nieba spadały słowa te na dziewczynę skuloną pod murem, że ciepło wstępowało zwolna w dziecięce nieledwie jej ciało. Ale jeszcze lęk niecił pies dyszący, na uwięzi trzymany, a rwący się w tę stronę, kędy znikł psów korowód. Ciepło słów człowieka wszelako silniejsze było, niźli psa straszliwość.

Dziewczyna cicho wyszeptała:

— Błogosławiących niegodnam rąk, ani słów waszych.

Człowiek zasię spytał:

— Kim jesteś, dziewczę zbłąkane?

— Ulicy córą, jako widzicie.

Rzekł człowiek łagodnie:

— Błogosławione niech będą córy ulicy, gdy światło czynią w noc ciemną, jako ty. Pójdź za mną.

Dziewczę do muru przytuliło się gwałtownie:

— Ostanę tu.

— Pójdź za mną, w imię światła, które czynisz w noc czarną.

— Każdej nocy tak mawiali do mnie przechodnie — mówiła zdławionym głosem, — każdej nocy... Szłam z nimi, bo na to byłam tu, na ulicy... dzisiaj przecież na to już nie jestem.

Rzekł człowiek powtórnie:

— W imię światła, które czynisz w noc czarną mówięć: pójdź za mną.

— W imię mych oczu tak mawiali inni...

Rzekł człowiek z naciskiem:

— W imię nieuświadomionego w tobie światła, które niecisz, mówię, pójdziesz ze mną, iżbyś ulicy nie była usłużną ani jej poniewierką.

A zasię mówięć, iżeś nie poznała jeszcze stworzenia, z którego się wywodzisz, a które na cię przez życie nastaje.

Na wzgórzę Poznania zawiodę cię; tam uwolnisz się odeń, lecz wprzódy pójść musisz rodzica wiedziona wskazaniem, uwięzionego przy mojem ramieniu rodzica twego. Tam poznasz rodzica swego i swego niszczyciela, który przez życie na cię nastawał.

Zbrakło ci, o córo, siły, by dźwignąć się z ulicy tej; wszelako mówięć: mocy masz wiele, iżby pójść za mną.

Z zanadrza wyjął człowiek srebrne naczynie i pić podał dziewczęciu. Spragnione wargi łakomie piły podane wino.

Przetarła oczy; w twarz człowieka spojrzała z dziękczynieniem a wpół uniósłszy się, dłoń jego całować jęła a zraszać gorącemi łzami.

Pies szarpnął smyczą; dławiony obrożą, dysząc ciężko rwać się począł ku wylotowi ciemnej ulicy, a pociągać za sobą człowieka, pana swego, i zawisłą na ramieniu jego ulicy córę znalezioną.

Opuścili ulicę; miasto opuścili. Ledwie bosa dziewczyny stopa miękkość wyczuła ziemi a murawy wilgotnej puszystość, pierzchła gdzieś ulicy zmora. W tejże też chwili miesiąca srebrzystość falą szeroką rozlała się po cienistym świecie — ciepłe zaś człowieka ramię przywróciło żywe w żyłach krwi krążenie.

Raz jeszcze z minionego życia przeleciał cień przez dziewczyny duszę; pytanie bezwiedne: żali do łoża wiedzie ją człowiek ten? żali miłością nową a wielką otoczy w straszną tę noc... póki świt nastanie, białego dnia straszliwość, nędzy nieodwołalna oczywistość?

Szarpnie się nagle dziewczę a wyrwie z obcych ramion:

— Puść mnie, człowieku nieznany! póki noc jeszcze, póki nie świt!

Nie odrzekł człowiek, jeno silnem przygarnął ramieniem; a pies na uwięzi pociągnął oboje w przestrzeń daleką, kędy nieznacznie rysowały się wzgórza na tle nieokreślonego barwą nieba.

Szli długo w milczeniu wielkiem.

Na szczycie wreszcie ponurego wzgórza stanął pies; stanął i człowiek, wpół przytomną dźwigając w ramieniu dziewczynę.

— Tu spoczniem — rzekł. — Miasto już daleko.

Po trzykroć okręcił powrósło dookoła lewicy swojej; na ziemi płaszcz rozłożył. We troje na wzgórzu spoczęli.

Wielkie milczenie w srebrzystość miesięcznej nocy zaklęte . . .

W głuchą tę przestrzeń, tajemnic pełną, płynęły słowa człowiecze:

— Bólu pełne jest życie, ale pełnia ta ostateczność życia raz jeden tylko przenika.

Możniejszy nad życie, twórczy występuje Duch i źdźbłem Wieczności zapładnia duszę i Wieczności uczestnicą czyni ją.

Wtedy to pierwsza zstępuje iskra Poznania, odtąd dusza z Zwierzęctwa wyzwolona a oddana jest Wieczności.

Z Bólu Poznania rodzi się . . .

Odpada naskórze po naskórzu, pęka skorupa po skorupie.

W świętym dziewicy wstydzie nagość tchnienia bożego zjawia się.

Pierwotność ujawniona jest i wszystkie duszy narastanie, iże bieg życia odsłoniony jest jako płynący jasny ptak przez białość dnia słonecznego . . .

W srebrzystej zasię dali usłyszany był głos pokutny, człowieczego głosu wtór:

— Czemu cierpienie trwa?

Utajona-ż w pozaprzeszłym bycie męki przyczyna? albo w duszach z duszą cierpiącą w jedno zespolonych zamknięte źródło złego? Czyli może cierpienia źdźbło w czynach niepoznanych i niewiadomych lęże się, iżby sprawiedliwości Doskonałego nadać grozy a straszliwości niepojętej?

Mściwy Boże! jakoż mi gniew Twój ułagodzić, iżbyś poniechał pościgu, który boskości Twojej urąga?

Podnoszę bunt ofiarny!

Niemocnem dotąd ramieniem po część bóstwa Twego sięgam!

Tworzę!

Ja — duch sponiewierany, ujarzmiony w słabem kobiety ciele — wzywam Cię, iżbyś z ciała tego mię wyzwolił, jako że uwięziony tak duch jeno urąganiem Ci jest, nie chwałą...

W cichym nocy poszumie gubiły się słowa rozsiane w srebnej przestrzeni. To w skupieniu swem na chwilę zjawę poznania stwarzały, to znów rozpraszały się w chaosie.

Wtórował zasię człowieka głos:

Bólu szczyt to, gdy buntem sięga Prawd Doskonałego. Tworu zalążek... duszy zapłodnienie.

Wszelako nikła jest ta moc w obliczu Wszechmocy.

Małość jej strawia bunt duszy a w proch zamierzenie rozsypuje i proch ten ściele pod święte Doskonałego stopy.

Mija błysk ducha; błysk ten przecież nie ginie, ale w nieskończoności wieczne pozostawia drgnienia.

Nowy przeto wieczności atom powołany został do życia ku wiecznemu przymnażaniu stawania się Nieba . . .

Ty oto twórczy Duchu, w najnędzniejszą nierządnicy cielesną postać zaklęty, ty przez świata nierządne prawo najbardziej wzgardzony twórczy Duchu — szczytom najwyższym przeznaczony jesteś, największej mocy męskiej będziesz dzierżycielem, najjaśniejszych Słońc wspólnym promieniem. Wprzódy wszelako w ofierze nierządu poczęty Tworu zalążek przez miljon słonecznych promieni przedzierać się będzie, w miljonie ciał się objawi i miljon zniweczy globów zanim dosięże Ostateczności Doskonałej Poznanie.

Wcielony w nierządnicę wzgardzoną, jednakiem ciałem zrodzoną i jednakiem zbezczeszczoną, jako że Materja mści się za Materję — objaw się Duchu twórczy! . . .

Iżbyś do dna wychylił podaną czarę, nie cofnąwszy się w pół drogi w jednem z mnogich wcieleń twoich, iżbyś oszczędził sobie zwierzęctwa a godnym się stał wcielenia w formę doskonalszą — objaw się w niej, Duchu twórczy! . . .

Duszo nierządna, rodzica splugawiona nasieniem, najpodlejszą znieważona ręką — dokonaj przemienienia twego, albowiem niedalekie jest nowe mieszkanie twoje...

Tak oto łączyły się słowa człowieka, który doskonałości skraju blizkość czuł z rozrzuconem w srebrnem przetworzu pogwarem dźwięków nieznanych. Przemiana zasię duszy dokonywała się w chwilach onych.

Święta nastała godzina jutrzni. Uroczystość rozlała się wielka i cisza była większa, niźli ucho zdolne sobie przyswoić.

— — — — — — — — — — — —

Rzekł człowiek do dziewczyny, gdy pierwsze błysnęły promienie wschodzącego słońca:

— Oto twoje słońce.

— Moje słońce? — wpółsennie pyta dziewczyna, w myśli swej ślady minione dźwigając jeszcze — Moje słońce? — pyta.

— Twoje słońce.

— Nie mam słońca... Zgasło mi, wcześnie zgasło.

— Iżeś czyniła światło w noc ciemną, przeto twoje jest słońce, które po nocy wzeszło.

Milczenie.

Po chwili długiej rzecze dziewczyna:

— Czemuście przywiedli mnie na wzgórze to?

— Na wzgórze Poznania — wyszepta człowiek zadumany.

— Miłości chcecie mej?

Milczy człowiek.

— Kupić chcecie mnie, iżbym okupiła znów nad głową dach? Nie chcę dachu, który od zniszczenia chroni ciało moje, ani domu tego chcę, ani chleba, ani szaty, ani krasy ciała, iże dola moja przez dach ten, przez chleb ten i przez ciała krasę straszną jest.

Palcem na miasto wskaże człowiek:

— Krasa twoja ulicy jest własnością; tam oto poniewiera się na bruku. O krasie ciała nie mów człowiekowi, który cię wziął, albowiem wziął duszę duch człowieczy. Słońca brzask widzisz tedy poraz pierwszy, twojego słońca brzask...

— Słońca brzask! powtórzy dziewczę przecierając oczy i długo patrząc w jaśniejący cień człowieka.

Nagle jasność w dziewczęcia obliczu wielka zakwita:

— Tyżeś to człowiek jest, który piastowałeś mnie, zanim poczęła mnie matka!? Tyżeś to, ty!?

Do nóg jego przypadła i stopy całuje w płaczu nagłej szczęśliwości.

Dłoń niewidzialną na głowę dziewczyny położył cień człowieczy a promienie słońca osnuły, jako że jasność ich słońcu była podobna.

Przez róż promieni płynął głos dziewczęcia:

— Jakoż zgasły oczy wasze skorom ujrzała świat, jakoż to wypuściły mnie wasze ramiona, iżem światu na pastwę oddana była, iżem przypomniała was?... Jakoż stało się, iżem wolną wolą własną szła a wy nie wstrzymali mnie silnym uściskiem ramion waszych?...

Głos cienia człowieka, niby lawa, spływał oto na duszę jej po promieniach różanego słońca:

— Zmylona była dusza życiem, iże wolną się sądziła i od siebie zależną. A kiedy życia bieg kłam duszy twej żądał, straciłaś ślad promienia, na którym położyła cię Wszechmoc Doskonałego. I sądziłaś się Zwierzęctwu przeznacona, albowiem tak chce kłamliwe świata prawo. Wszelako prawo Doskonałego promieniowi słońca oddało cię, iżeś Pitriyânę przebyła i w dopełnieniu doskonałości ofiarą była w formie wzgardzonej, na śmiecie ludzkie wygnana.

Wszelako mówiąc zaprawdę, iże dusza ku ostatecznemu słońca ośrodkowi spiesząca po linji promienia, wolną ma wolę w ramach drgania promiennego, które to poruszenie i wahanie zmniejsza się i słabnie w miarę zbliżania się ostatecznemu słońca ośrodkowi. Maleje tedy wolna duszy wola przez przybliżanie się ku słońcu, aż wreszcie w świętym ośrodku jego, gdzie już promienie wszystkie zniewolone są, do drgnień i poruszeń niezdolne — to i wolnej ducha woli niemasz tam, jako że z Słońcem Duch zlany jest w ostatecznej jasności Poznania...

Już tylko cień własny, jaśniejący wraz z cieniem człowieka czuje dziewczę w złotych promieni żarze.

Wtem targnął się pies na uwięzi, a szarpiąc smyczą rwał się w stronę słońcu wschodzącemu przeciwną. Zmącił spokojność dziewczęcej duszy.

— Lękam się zwierzęcia tego.

— Życia mętne wspomnienie — rzecze człowiek.

Pyta dalej dziewczę, niespokojne:

— Czemu psa wleczecie na smyczy?

— Zło jednej duszy trzymam na uwięzi... dla odszukania jednej, zginionej duszy. Pies oto ten, jako wyrywa się od nas przemocą, tako rwał się ku ulicy onej, kędy nieszczęsną odnalazłem cię — dziś zasię....

Z trwogą dziewczę zawoła:

— Lękam się psa tego iże w pamięci czuję go w sobie. Te same oczy widziałam w najstraszniejszej chwili życia... Uwolńcie mnie od psa tego; mnie powrozem przytwierdźcie do siebie, puśćcie psa tego, co rwie się ku miastu. Puśćcie go w imię wzeszłego słońca mojego, jako że na wzgórzu tem klątwę zwierzęctwa poznaję, jako że odeń wolna jestem.

Pies coraz gwałtowniej szarpał powróz a ku miastu się rwał, i nie łatwo strzymał go człowiek, aże ten przyklęknął.

— Nie strzymam — wołał sił ostatkiem.

— Puście go!

— Nie czas jeszcze. Nie pisane mi tej chwili od psa tego uwolnienie.

— Czas nadszedł — zawoła dziewczę. Niechaj jasnego promienia słońca, które mi wzeszło, nie przesłania czarność zwierzęcia tego, niechaj skomlenie jego nie mąci ciszy wzgórza tego. Puście go!

I szarpnie dziewczę powrozem, aż wypuścił go człowiek z ręki. Pies zasię pomknął przed się, poprzez wzgórza i poprzez ziemi falistość — ku miastu pomknął pies, iżby błąkał się po zaułkach ulicznych w każdą noc czarną.

— — — — — — — — — — — —

Oto chwila najświętsza, gdy ostatni znika cień w obliczu wschodzącego słońca. Wtedy dusz dwojga jasność, jasności Słońca jedna jest.